



LEGENDY POLSKIE

Aleksandra Biskupska



Wars i Sawa

Dawno, dawno temu, gdy w Polsce nie było jeszcze miast, tylko otoczone gęstą puszcza maleńkie osady, w jednej z nich, położonej nad brzegiem Wisły mieszkał młody rybak imieniem Wars. Był silnym, pięknym mężczyzną o jasnych włosach i czystym spojrzeniu. Każdego poranka z radością w sercu wypływał na połów, z którego wracał późnym wieczorem. Jego sieci pełne były ryb, a on sam czuł wdzięczność za wszystko, czym obdarowywała go rzeka. Kochał Wisłę, tak zmienną w zależności od pory dnia, dziką, kapryśną, czasem groźną, ale dla niego zawsze łaskawą. Była całym jego życiem. Rzeką nieustannie przyzywała go nie tylko w dzień, ale też w nocy. Dlatego często wypływał swoją łodzią na samotne wyprawy w świetle gwiazd. Słuchał wówczas plusku fal, pohukiwania sów i nawoływań dzikich zwierząt ukrytych w puszczy.

Pewnego razu wśród dobrze już znanych melodii nadwiślańskich nocy usłyszał dźwięki tak piękne i zniewalające, że zapomniał o całym świecie. Ukrył się w szuwarach i oniemiały z zachwytu wpatrywał w ciemność rozproszoną księżycową poświatą. Na brzegu jednej z wysp majaczących w mroku siedziała przepiękna dziewczyna. Miała złote włosy tańczące wokół jej gładkiej twarzy jak rzeczne wodorosty, pełną wdzięku postać, a

zamiast nóg pokryty srebrnymi łuskami rybi ogon. Pół-kobieta pół-ryba śpiewała. Jej nieziemski głos czarował całą okolicę, która zamarła zasłuchana, a wraz z nią Wars. Rybak trwał tak aż do chwili, gdy syrena zanurkowała i zniknęła w wodnych odmętach. Wrócił potem do domu, nie mogąc przestać myśleć o cudownym zjawisku, które zobaczył. Odtąd nie mógł ani jeść, ani spać, ani pracować z dawnym zapałem. Pokochał bowiem syrenę od pierwszego wejrzenia i nie pragnął niczego innego, jak tylko widywać ją co dzień i słuchać jej śpiewu. Wiele nocy spędził w pobliżu wyspy, obserwując niczego nieświadomą mieszkankę rzecznych głębin czeszącą swoje długie włosy, igrającą w wodzie, śmiejącą się perlistym śmiechem i śpiewającą magiczne pieśni.

Którejś nocy Wars ukryty w przybrzeżnych trzcinach nieostrożnie postawił stopę na brzegu łodzi, ta zachybotła się i rybak z pluskiem wpadł do rzeki. Spłoszona syrena zniknęła pod powierzchnią wody. Po chwili jednak wypłynęła i zbliżyła się do zawstydzonego młodzieńca. Widziała go nie po raz pierwszy. Zdarzało jej się już wcześniej obserwować tego pracowitego mężczyznę, który tak wiele czasu spędzał na łodzi i zawsze oddawał szacunek rzece. Z początku, gdy zrozumiała, że ją podpatrywał, wpadła w gniew, ale potem zajrzała mu w oczy i wyczytała z nich wszystko. Całą miłość jaką dla niej miał, ogrom zachwytu, tęsknoty i udręki. W tej chwili Sawa, bo tak miała na imię syrena, pokochała Warsa żarliwie. Z chwilą, gdy w jej sercu obudziło się nowe, nieznane wcześniej uczucie, jej ogon zniknął. Wiadomo bowiem, że jeśli syrena kiedykolwiek z wzajemnością pokocha człowieka, staje się zwykłą kobietą, a woda na zawsze przestaje być jej domem. Szczęśliwi, wpatrzeni w siebie Wars i Sawa wyszli na brzeg. Dziewczyna zamiast pokrytego łuską ogona miała długie, smukłe nogi, które zachwyciły oboje. Młodzi pobrali się wkrótce i zamieszkali wspólnie w chatce nad rzeką. Żyli w niej długo i w harmonii. Nigdy niczego im nie brakowało. Wraz z upływem lat wokół ich domu zaczęły powstawać kolejne, osada rozrastała się i nie wiadomo kiedy zaczęto nazywać ją Warszawą od połączenia imion szczęśliwej pary, której historię przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie.

Legenda o Warsie i Sawie żyje do dziś, a na jej pamiątkę w herbie stolicy Polski widnieje dumna syrena o złotych włosach.



Król Kruków

Na środku poznańskiego rynku stoi renesansowy ratusz. Wieki temu mieszkał w nim strażnik. Co dzień z wysokiej wieży obserwował on okolicę, gotów wszcząć alarm, gdyby zauważył zagrażające miastu niebezpieczeństwo. Strażnik był ojcem chłopca imieniem Bolko, który miał pewne szczególne właściwości. Potrafił wyleczyć każde chore zwierzę. Opiekował się psami, których łapy ucierpiały pod kołami wozów, podtrutymi kotami i pisklętami, które wypadły z gniazda. Pewnego dnia, gdy razem z ojcem wpatrywał się w otaczające miasto pola i lasy, do jego stóp spadł ptak o aksamitnych piórach koloru nocy pozbawionej księżyca i gwiazd. Był to ranny kruk. Chłopiec uniósł go delikatnie zachwycony jego dostojnym pięknem. Skrzydło ptaka zwisało bezwładnie przebite zabłąkaną strzałą. Bolko zabrał kruka do domu i tam zajął się nim troskliwie. Z każdym dniem ptak odzyskiwał siły, a złamane skrzydło sprawność. Którejś nocy Bolko zbudził się pośród ciemności. W kącie izby, gdzie zamieszkał kruk jaśniało chłodne światło. Stał tam maleńki człowieczek w koronie i srebrnym płaszczu. Bił od niego księżycowy blask.

- Nie jestem zwykłym ptakiem, chłopcze - powiedział karzełek - Oto masz przed sobą króla kruków. Okazałeś mi wielką dobroć i troskę, a my, kruki, nigdy nie zapominamy oddanych nam przysług. Chcę ci się

odwdzięczyć. Przyjmij, proszę ten podarunek. Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował pomocy, użyj go, a przybędę natychmiast.

Po czym zamienił się w czarnego, lśniącego ptaka i bezszelestnie wyleciał przez otwarte okno prosto w milczącą noc. W miejscu, w którym jeszcze przed chwilą był Król Kruków leżała złota trąbka.

Mijały lata. Bolko wyrósł na silnego mężczyznę i zastąpił swojego ojca na stanowisku strażnika miasta. Teraz to on spędzał każdy dzień na wieży ratusza, wpatrując się w otaczające Poznań pola i lasy. Był ciepły letni dzień, gdy na horyzoncie pojawiły się nieprzyjacielskie wojska. Bolko natychmiast zaalarmował mieszkańców, którzy zaczęli przygotowywać się do odparcia ataku. Tymczasem wróg szybko zbliżał się do bram miasta. Napastników było wielu, zbyt wielu, by poznaniacy mogli skutecznie się obronić. Wówczas Bolko przypomniał sobie o prezencie od Króla Kruków. Wydobyl ukrytą dotąd w skrzyni złotą trąbkę i zadał w nią. Ponad ogólnym zgiełkiem popłynęły przenikliwe, wysokie dźwięki instrumentu. Na moment wszyscy, zarówno obrońcy, jak i agresorzy, umilkli i znieruchomieli. Melodia płynęła w świat niezakłócona żadnym szelestem. Po chwili zaś na niebie pojawiła się mroczna chmura, która z minuty na minutę rosła, coraz bardziej przesłaniając słońce. Dał się słyszeć ogłuszający szum skrzydeł i rozdzierający krzyk tysięcy ptasich gardeł. Żywa chmura runęła wprost na miasto, rozpadając się po drodze na niezliczone, czarne ptaki o potężnych dziobach i ostrych pazurach. Skrzydlata armia zaatakowała wrogie wojska. Rozszalałe ptaki dziobały i drapały zdezorientowanych napastników nieprzygotowanych na walkę z takim przeciwnikiem. Były szybkie, zwinne i skuteczne. Poranieni najeźdźcy zaczęli wycofywać się w popłochu, a nieustępliwe kruki goniły goniły ich dopóty dopóki nie zniknęli mieszkańcom miasta z pola widzenia. Tak oto Król Kruków dotrzymał swej obietnicy, a jego skrzydlaci poddani pomogli poznaniakom z Bolkiem na czele ocalić życia i domy.

Cudowna trąbka zaginęła gdzieś w bitewnym zgiełku i nigdy jej nie odnaleziono. Pozostała legenda o niej, o Bolku, Królu Kruków oraz hejnał, każdego dnia wygrywany z wieży poznańskiego ratusza. Jest jeszcze coś. Dziś wszystkie poznańskie jednostki lotnicze mają wpisane w swoje znaki sylwetkę lecącego kruka, olbrzymiego ptaka o dumnie rozpostartych skrzydłach, potężnym dziobie i rozwartych szponach.



Srebrnorogi jeleń

Dawno temu, w pobliżu Wrocławia, w ubogiej osadzie na skraju puszczy mieszkali dwaj bracia – Sambor i Wojan. Różniło ich wszystko. Młodszy, Sambor, był pracowity, starszy, Wojan leniwy. Sambor cieszył się każdym dniem, Wojan tylko narzekał. Sambor zadowalał się tym, co miał, choć nie było tego wiele i chętnie dzielił się z innymi, Wojan najbardziej na świecie pragnął bogactwa i nigdy niczego nikomu nie dał. Stało się tak, że obaj pokochali piękną córkę miejscowego drwala – Bognę. Dziewczyna wybrała uczciwego, szlachetnego i skromnego Sambora, ale ojciec przyobiecał jej rękę Wojanowi, mniemając, że ten ma większe szanse, by stać się kiedyś bogaczem i zapewnić jego córce bezpieczną przyszłość.

Pewnego dnia bracia poszli do lasu, by narąbać drewno na opał. Sambor pracował w pocie czoła, a Wojan leżał opodal na polanie, żuł żdźbło trawy i wpatrywał się w niebo, marząc o fortunie, którą kiedyś posiadzie. Nagle z lasu wybiegł ogromny jeleń o srebrnych rogach. Dysząc ciężko spojrzał błagalnie na obu braci i ludzkim głosem poprosił o zmylenie tropiących go myśliwych. Wrażliwe serce Sambora natychmiast kazało mu obiecać pomoc. Chciwy umysł Wojana natomiast widział tylko srebrne rogi i w myślach przeliczał pieniądze, które mógłby zdobyć, gdyby sam upolował niezwykłego jelenia. Tymczasem zwierzę przeskoczyło pobliski jar i

zniknęło wśród młodych brzoź. Po chwili na polanie pojawił się książę na koniu otoczony przez myśliwych i sforę ujadających ogarów. Zapytał braci czy nie widzieli srebrnorogiego jelenia. Wojan teraz zaczął liczyć na nagrodę za pomoc w upolowaniu cennej zwierzyny, jednak nim zdążył wydobyć z siebie głos, Sambor pokornie pokłonił się przed księciem, po czym skierował go w stronę przeciwną do tej, w którą uciekł jelen.

Gdy gromada myśliwych wraz ze swym panem zniknęła na dobre z pola widzenia, a szczekanie psów ucichło, jelen ponownie stanął przed braćmi, tym razem z uniesioną dumnie głową.

Jesteś moim wybawcą - powiedział dźwięcznym głosem, z wdzięcznością patrząc na Sambora - Powiedz, czego pragniesz, a spełnię Twoje życzenie.

Sambor zamyślił się głęboko. Nie chciał bogactwa ani sławy. Poprosił o kuźnię, miejsce gdzie mógłby wykuwać narzędzia dla ubogich sąsiadów, by mogli przy ich pomocy uprawiać ziemię. Jelen skłonił głowę przed Samborem. Wtedy o nagrodę upomniał się niepytany przez nikogo Wojan. Jelen uniósł brwi, na poły zdziwiony, na poły gniewny, ale wysłuchał życzenia starszego z braci. Ten zażądał upragnionego bogactwa. Jelen skłonił głowę raz jeszcze i przemówił:

- Obaj dostaniecie to, o co prosicie. Ty Samborze kuźnię, a ty Wojanie bogactwo. Obyście dobrze wykorzystali te podarunki.

Po czym stuknął kopytem w ziemię, a spod niej wyłoniły się dwa pierścienie – jeden żelazny, drugi złoty.

Idźcie za nimi - przykazał srebrnorogi jelen – One wskażą wam drogę. Tam gdzie się zatrzymają, znajdziecie, to czego chcecie.

Sambor podążył za żelaznym pierścieniem, który długo toczył się w trawie, dotarł do osady, w której mieszkali bracia, minął ją i upadł tuż za jej granicami. Ziemia w tym miejscu miała lekko czerwony kolor. Sambor rozkopał ją i trafił na rudę żelaza. Wraz ze zwołanymi na pomoc sąsiadami młodszy z braci w ciągu tygodnia wybudował w tym miejscu kuźnię, gdzie zaczął wytapiać żelazo i wyrabiać z niego narzędzia dla chłopów. Wkrótce wszyscy w osadzie mieli czym obrabiać pola i zaczęło lepiej im się powodzić. Ojciec Bogny przekonał się, że pracowity Sambor będzie lepszym mężem dla jego córki i dziewczyna została narzeczoną młodszego z braci. Zresztą nikt nie wiedział, gdzie podział się Wojan.

Tymczasem złoty pierścień prowadził starszego z braci dzień i noc, tocząc się przez las, aż wreszcie zakręcił się kilkakrotnie i zatrzymał w

pobliżu dużego głazu. Wojan uniósł kamień i ujrzał wejście do groty. Podążył w jej głąb, po czym trafił do złotej komnaty pełnej niewyobrażalnych bogactw. W pobliżu góry drogocennych kamieni na złotym stołku siedział maleńki człowieczek z długą, białą brodą, który zapytał Wojana kim jest i skąd się tu wziął. Wojan opowiedział o jeleniu i pokazał złoty pierścień. Wówczas człowieczek powiedział mu:

- Możesz wziąć stąd ze sobą tyle, ile zdołasz unieść.

Uśmiechnął się do Wojana tajemniczo, a potem rozpląnął w powietrzu. Wojan długo myszkował wśród nieprzebranych kosztowności, cennych przedmiotów, złotem wyszywanych tkanin i klejnotów. Wreszcie wybrał worek złota tak duży, że ledwo był w stanie go podnieść. Wytaszczył wór na zewnątrz i spojrzał za siebie zobaczył. Wejście do groty zniknęło, a pod kamieniem była już tylko wilgotna, mocno ubita ziemia.

- Nic to – pomyślał – mam wszystko, czego chciałem. Do wioski nie wrócę, bo po co. Ani Bogna, ani Sambor nie są mi już potrzebni. Pójdę do miasta i tam będę wiódł życie bogacza.

Kilka lat później przed kuźnią kowala Sambora i jego pięknej żony Bogny stanął obdarty, wychudzony nędzarz, który poprosił o coś do jedzenia i zajęcie, jeśli znajdzie się takie. Serce Sambora zadrżało, gdy rozpoznał w żebraku swojego starszego brata. Ugościł go natychmiast, dał wikt, opierunek i pracę w kuźni. Nigdy nie zapytał co spotkało Wojana, a on też nie wspomniał ani słowem o tym długim czasie, gdy się nie widzieli. Zmienił się. Całymi dniami kuł żelazo w kuźni i pomagał innym, jakby pragnął odkupić swoje wcześniejsze winy – lenistwo, egoizm, skąpstwo. Nocami, nie mówiąc o tym nikomu, wykuwał w kamieniu sylwetkę jelenia o imponującym porożu. Gdy skończył relief podarował go budowniczym wrocławskiego ratusza, a ci wmurowali go w jedną ze ścian budowli. Do dziś można tam oglądać przedstawiającą srebrnorogiego jelenia płaskorzeźbę, która wyszła spod rąk legendarnego Wojana.



Jurata – królowa Bałtyku

Przed wiekami na dnie Bałtyku stał bursztynowy pałac o niezliczonych komnatach, krużgankach z rzeźbionymi kolumnami i strzelistych wieżach. Mieszkała w nim królowa morza, Jurata. Miała szmaragdowe włosy i oczy o barwie turkusów. Była piękna, mądra i sprawiedliwa. Jej woli z ufnością poddawało się każde morskie stworzenie, a ona kochała je wszystkie tak samo. Rzadko opuszczała głębinę i nie zaglądała do świata ludzi. Aż pewnego dnia mała flądra doniosła jej, że jeden z rybaków wyjątkowo zręcznie zarzuca sieci i co dzień łowi w nie mnóstwo ryb. Królowa wpadła w gniew, który wzburzył morskie fale, przynosząc wybrzeżu straszliwy sztorm. Pragnąc ochronić swoich poddanych i zemścić się na człowieku, który im zagrażał, Jurata obmyśliła plan jak pozbyć się zuchwałego rybaka. Zwołała do siebie syreny i nimfy wodne, rozkazała im znaleźć mężczyznę, którego sieci pełne są ryb i omamić go swoim śpiewem.

Rybak nazywał się Castitis. Był młodym mężczyzną o dobrym sercu. Mieszkał samotnie w skromnej chatce. Wszystko, co posiadał, to zbudowana przez niego własnoręcznie łódź, gęsto uplecione sieci i niezawodny instynkt, który zawsze wiodł go tam, gdzie wody obfitowały w śledzie, flądry, dorsze, szprotki, turboty, sole i belony. Co dzień wypływał w morze, gdzie spędzał długie godziny, wypatrując ryb.

Podczas jednej z takich wypraw Castitis ujrzał w oddali gwałtowne ruchy i zamięcanie wody, jakby pod jej powierzchnią znajdowały się

dziesiątki ogonów i płetw. Podpłynął do tego miejsca. Wówczas usłyszał kobiece głosy, nieprawdopodobnie piękne, kuszące, jakby nie z tego świata. Śpiewały cudowną pieśń w nieznanym języku. Rybak nie rozumiał słów, ale czuł, że głosy opowiadają o morzu, miłości i tęsknocie za czymś niewypowiedzianym. Znieruchomiał i zatracił się cały w zasłuchaniu. Nagle wśród fal zobaczył śliczne twarze o ogromnych oczach w kolorze morskiej wody, długie włosy i smukłe ciała zakończone rybimi ogonami. Syreny. Odpływały. Oczarowany ich nieziemskim śpiewem i wdziękiem popłynął za nimi, nie zauważając jak bardzo oddala się od brzegu. Gdy był już daleko, morze wokół niego zafalowało gwałtownie i tuż przed dziobem łodzi Castitisa z wody wynurzyła się kobieta w bursztynowej koronie, odziana w srebrny płaszcz z rybich łusek, tak zachwycająca i pełna mocy, że rybak natychmiast pokochał ją bezgranicznie. Była to Jurata gotowa wciągnąć nieświadomego jej zamiarów mężczyznę w morską toń i utopić. Spojrzała jednak w jego oczy i ujrzała w nich czyste oddanie, ogrom ludzkiej miłości, coś czego nigdy wcześniej nie zaznała. Wezbrało w niej nieznanne uczucie, którego potęga równa była potędze morza.

Od tego dnia Jurata i Castitis każdego wieczora widywali się nad brzegiem morza, a ich szczęście nie miało sobie równych. Byłoby pewnie trwało nadal, gdyby o ich miłości nie dowiedział się zazdrosny i gniewny Perkun, bóg ognia i błyskawic. Fakt, że Jurata pokochała zwykłego śmiertelnika, w dodatku nędznego rybaka rozsierdził go niemożliwie. Perkun cisnął ogromnym piorunem w bursztynowy pałac królowej morza, rozbijając go na miliony kawałków. Zginęła sama Jurata, a pojmany przez Perkuna Castitis został przykuty do podwodnej skały, gdzie miał już zawsze rozpaczać po starcie ukochanej. Jego zawodzący głos można usłyszeć do dziś, gdy nad Bałtykiem szaleje złowrogi wichur, a sztormowe fale wściekle biją o brzeg. Do dziś też morze wyrzuca na brzeg bursztyny, okruchy pałacu podwodnej królowej, która zaznała ziemskiej miłości i zapłaciła za nią najwyższą cenę.



Wieża trzech płaszczy

Działo się to w czasach, gdy Lublin był jeszcze na tyle mały, że nie otaczały go mury obronne. Nie miał nawet wieży strażniczej, z której ktoś mógłby obserwować okolicę i ostrzegać mieszkańców przed ewentualnym niebezpieczeństwem. Nad lubelską ziemią pieczę trzymał wówczas książę Bolesław Krzywousty i to on pewnego dnia rozkazał wznieść kamienną wieżę na szczycie jednego ze wzgórz. Zatrudniono najlepszych budowniczych, zwieziono olbrzymie głazy, które stanowić miały podstawę i doskonale ociosane mniejsze kamienie do budowania mocnych murów. Prace trwały przez wiele miesięcy, aż wreszcie nad grodem stanęła wieża górująca nad okolicą. Teraz pozostało tylko znaleźć godnego zaufania człowieka, który mógłby czuwać na niej dniem i nocą. Książę polecił rozgłosić w całym królestwie, że w Lublinie odbędzie się turniej rycerski, a jego zwycięzca obejmie zaszczytną funkcję strażnika grodu.

Na wezwanie księcia przybyło wielu śmiałków, Turniejowe zmagania trwały kilka dni. Wreszcie przed obliczem księcia stanął płowowłosy rycerz o szerokich ramionach znamionujących siłę, który pokonał wszystkich rywali. Skłonił się nisko i dał rycerskie słowo, że będzie z poświęceniem strzec grodu. Krzywousty wziął zgromadzonych wokół dworzan na świadków przysięgi, a na znak swej przychylności podarował rycerzowi bogato zdobiony płaszcz z zielonego sukna i od razu rozkazał nowemu strażnikowi udać się na wieżę. Gdy tylko rycerz stanął na jej szczycie, zerwał się gwałtowny wiatr o niespotykanej sile. Jego poddmuchy szarpały

dziko zielony płaszcz strażnika tak długo, aż zerwały go, kamienna wieża rozpadła się w proch, a rycerz zginął pod jej gruzami. Książę uznał to za znak, że człowiek ten nie miał czystego serca, a jego przysięga nie była szczera.

Wieżę odbudowano, jeszcze solidniejszą, jeszcze bardziej imponującą. Ponownie po kraju rozeszły się wieści, że Bolesław Krzywousty wzywa rycerzy, którzy chcą stanąć w szranki, by objąć straż w lubelskim grodzie. Stawili się jeszcze liczniej niż poprzednio. Odbył się wspaniały turniej i wkrótce na dworze księcia stanął jego zwycięzca. Tym razem był to młody, smukły rycerz o wyszukanych manierach, który przybył z odległych stron. On także, jak jego poprzednik, w obecności tłumu poddanych dał księciu rycerskie słowo, że będzie godnie sprawować obowiązki strażnika i z oddaniem strzec Lublina. Książę zarzucił na jego ramiona płaszcz ze szlachetnej, gęsto wyszywanej tkaniny w kolorze zielonym, a potem posłał na wieżę. Kiedy rycerz objął wartę, straszliwy wichur zaczął miotać na wszystkie strony połami zielonego płaszcza. Wreszcie porwał go i w tej samej chwili wieża runęła, grzebiąc nieszczęsnego rycerza. Zasmucony książę Krzywousty uznał to zdarzenie za znak, iż triumfator drugiego turnieju, podobnie jak jego poprzednik, był krzywoprzysięcą.

Po raz trzeci najznamienitsi budowniczkowie na rozkaz przystąpili księcia do pracy i po kilku miesiącach na wzniesieniu w pobliżu lubelskiego grodu stanęła kamienna wieża, wyższa i okazalsza od dwóch poprzednich. Tym razem, gdy książę zorganizował turniej nie zjawił się nikt. Wieści o tragicznych losach pierwszych strażników obiegiły już cały kraj. Brakowało chętnych do podjęcia wyzwania. Książę czekał. I wtedy w grodzie zjawił się nie wiadomo skąd nieznany nikomu jeździec, milczący, z głową zakrytą kapturem. Odstłonił twarz dopiero, gdy stanął przed samym Krzywoustym. Miał przenikliwy wzrok, wąskie usta i coś, co sprawiało, że gdy mówił, wszyscy milkli. Dał rycerskie słowo, że będzie czuwał nad Lublinem niestudzenie dniem i nocą. Krzywousty przyjął obietnicę. Nie miał już wytwornego zielonego płaszcza, by obdarować nim rycerza, dając dowód książęcej łaskawości. Zarzucił mu więc na ramiona zgrzebny płaszcz podróżny uszyty z szarego płótna. Tajemniczy przybysz wstąpił na wieżę i z uniesioną głową spojrzał w przestrzeń. Lekki wiatr owiał jego szlachetną postać i łagodnie uniósł skromny, szary płaszcz. Stało się wtedy coś nieoczekiwanego. U ramion rycerza wyrosły skrzydła, na których wzbił się w powietrze i pod postacią orła zaczął krążyć na tle błękitnego nieba. Książę poczuł ulgę, głęboki spokój i pewność. Oto bowiem zjawił się człowiek, którego przysięga była szczera i któremu mógł powierzyć bezpieczeństwo grodu. W miejscu gdzie wybudowano wieżę stanął okazały zamek, który jest tam do dziś. Do dziś także nad lubelską krążą orły, niestrudzenie patrolując tamtejsze okolice.



Bazyliszek

Historia ta wydarzyła się w czasach, gdy Warszawa słynęła z utalentowanych płatnerzy. Wykuwali oni oraz naprawiali zbroje, miecze i tarcze rycerskie. Najbardziej poważanym wśród rzemieślników tej profesji był Melchior Ostroga. Do kuźni mistrza zjeżdżali rycerze z całego królestwa, a także spoza jego granic. Wyroby Melchiora były doskonałe. Miecze nie miały sobie równych pod względem ostrości i lekkości, zbroje chroniły tych, którzy je nosili przed najcelniejszymi strzałami, a w gładko wypolerowanych tarczach można było przeglądać się jak w lustrach. Melchior miał syna i córkę. Michaś i Hanka byli jeszcze małymi dziećmi, więc całe dnie spędzali w kuźni bądź jej pobliżu, nie oddalając się zbyt daleko.

Pewnego dnia na Stary Rynek przyjechał wędrowny cyrk. Dzieci płatnerza uprosiły ojca, żeby pozwolił im zobaczyć przedstawienie. Melchior zgodził się, ostrzegając jednak syna i córkę, by pod żadnym pozorem nie wchodzili do opuszczonego domu na Krzywym Kole, w którego piwnicach podobno żył potwór o złych oczach, strzegący nieprzebranych skarbów. Jedno spojrzenie w jego gorejące ślepie zmieniało człowieka w kamień. Dzieci przyrzekły, że będą trzymać się z daleka od tego miejsca. Michaś wypolerował buciki, Hanka wplotła we włosy błękitną wstążkę i poszli.

Występy kuglarzy, akrobatów oraz tancerzy były wspaniałe, a na rynku roило się od dzieci z sąsiedztwa. Był wśród nich Antek, który zawsze robił to, co chciał i nigdy nikogo nie słuchał. Aż do zmroku Michaś i Hanka

wraz z przyjaciółmi biegali między straganami, przekrzykiwali się i bawili w chowanego. Ta ostatnia zabawa zawiodła ich aż pod drzwi zrujnowanej kamienicy na Krzywym Kole. Antek uznał, że to świetna kryjówka, bo pozostali nie odważą się tam wejść, ze względu bajki o Bazyliśku. On sam w ogóle w nie nie wierzył. Michaś i Hanka nie byli przekonani. Obiecali przecież ojcu. Antek namawiał ich przez chwilę, aż wreszcie sam wszedł do opuszczonego domu, rzucając na odchodnym, że jeśli prawdziwa jest ta część legend o skarbie ukrytym w piwnicy, to on, Antek, wyjdzie stamtąd bogaty.

Dzieci płatnerza stały przerażone zuchwałością Antka, ale też, co tu dużo kryć, zafascynowane. Mijały długie minuty i nic. Żadnego dźwięku. Michaś i Hanka zaczęli nawoływać Antka, ale ten ani się nie pojawiał, ani nie odpowiadał. Wreszcie Michaś otworzył drzwi kamienicy i wszedł do środka, a Hanka poszła za nim.

Wewnątrz było ciemno, wilgotno i ponuro. Trzymając się za ręce zeszli na dół i ujrzeli drzwi do piwnicy. Wydobywało się spod nich światło, migotliwe, wielobarwne i tak kuszące, że dzieci jak zahipnotyzowane chwyciły za mosiężną klamkę, po czym przekroczyły próg piwnicy. Oczom ich ukazało się wnętrze pełne starych zakurzonych sprzętów, pośród których stała otwarta skrzynia po brzegi wypełniona klejnotami i złotem. Zbliżyły się oczarowane i dopiero wtedy zobaczyły Antka. Stał pod ścianą, dziwnie znieruchomiał, z grymasem przerażenia na szarej, pozbawionej życia twarzy. Nie był już człowiekiem, tylko kamiennym posągami! Opodał, między dziećmi a drzwiami przechadzał się na dwóch szponiastych nogach przerażający stwór z ogonem węża, błoniastymi skrzydłami i głową koguta, w której dziko płonęły diabelskie ślepie. Bazyliśzek jeszcze nie dostrzegł Michasia i Hanki, ale odcinał im drogę ucieczki. Drżące ze strachu dzieci ukryły się w cieniu za jakąś zniszczoną komodą, nie wiedząc co robić dalej.

Tymczasem zrobiło się już naprawdę późno, głosy dobiegające z rynku do kuźni Melchiora dawno już umilkły, a dzieci płatnerza nie wracały do domu. Wreszcie zaniepokojony ojciec wyruszył na poszukiwania. Na próżno wołał, wypatrywał oczy i wypytywał spotkanych ludzi. Dzieci przepadły jak kamień w wodę. I wtedy Melchior zobaczył błękitną wstążkę Hanki leżącą na bruku przy opuszczonej kamienicy. Już wiedział co się stało. Pędem wrócił do kuźni, chwycił miecz i tarczę, po czym wrócił przed przeklęty dom na Krzywym Kole. Nie wahał się ani chwili. Wszedł do środka i skierował prosto do piwnic. Zobaczył to samo co dzieci światło, potem to samo wnętrze, ale na skrzynię skarbów nawet okiem nie rzucił. Szukał syna i córki. Nagle z boku wyszedł ku niemu Bazyliśzek, wydając z siebie cichy wężowy syk. Melchior odruchowo zasłonił się tarczą. Potwór stanął przed nią, wrzasnął dziko i... skamieniał. Śmiercionośne spojrzenie bazyliśzkowych oczu obite w lustrzanej powierzchni zamieniło go w straszliwą rzeźbę. Melchior szybko odnalazł ukryte w piwnicy dzieci, mocno

przytulił i długo płakał ze szczęścia. Opuszczając kamienicę cała trójka zabrała ze sobą bazylijskowe bogactwa, a że mieli już w domu wszystkiego pod dostatkiem, rozdali kosztowności biedakom. Cała Warszawa była wdzięczna Melchiorowi za uwolnienie od potwora, a legenda o nim, dwójce dzieci i BazyliSZku żyje do dziś.

Publikacja jest uzupełnieniem inspirowanej polskimi legendami bezpłatnej aplikacji edukacyjnej dla dzieci w wieku 5-8 lat.

Aplikację iOjczysty można pobrać korzystając z poniższych linków.



Dofinansowano w ramach Programu Narodowego Centrum Kultury
Ojczysty – dodaj do ulubionych



Publikacja jest dostępna na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Fundacji Rodzice Przyszłości. Utwór powstał w ramach konkursu na realizację zadania publicznego „Ojczysty – dodaj do ulubionych 2016”. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu pod warunkiem zachowania ww. informacji w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o zadaniu publicznym „Ojczysty – dodaj do ulubionych 2016”.

